

Alilujka, Dziadówek, Węgajty

Tadeusz Kornaś

Przedstawienia Teatru Wiejskiego "Węgajty" przekraczają tradycyjną strukturę spektaklu. Najwyraźniej można to dostrzec, gdy ogląda się je w miejscu, w którym się narodziły – w węgajckiej przebudowanej stodole, w pejzażu morenowych wzgórz, nieopodal lasu z dała od szosy. Tutaj, w kolonii wsi Węgajty każdy dom ma swoje imię, jak człowiek. Każda pora dnia czy roku ma całkiem inny kolor. I nie jest to tylko w Węgajtach przedstawień zbyt sentymentalizm. Bo cała otaczająca przestrzeń odciska piętno na przedstawieniu, nasąca je. W najbardziej podstawowym wymiarze wiąże się to z faktem, że wszyscy aktorzy zamieszkali we wsi na stałe. Niejako naturalnie więc wnoszą w przedstawienie brak pośpiechu i spokój.

Nie daje się w Węgajtach przedstawień zbyt często. Ich prezentacja zawsze jest małym świętem. Przyjeżdżają z daleka goście, pośród nich jest wielu znajomych, przychodzą ludzie ze wsi. Wszystko się wycisza, ludzie rozmawiają, siedzą przy kominku czy przed salą. Choć przedstawienie jeszcze się nie zaczęło, działa już otaczająca go magia. Po spektaklu znów jest czas na rozmowy, na herbatę. Nikt nie odchodzi, by zdążyć na ostatni autobus, czy serial w telewizji. Za chwilę zagra muzyka, wkrótce zawiruje taniec.

Przed laty, gdy nie było jeszcze telewizji, gdy ktoś przyszedł w gošcinę, trzeba było "nabyć się razem". W ciszy, w rozmowie, w śmiechu. Spektakl w Węgajtach jest jednym z ogniw takiego "nabycia się razem", otacza go cała seria innych działań. Ale nie znaczy to, że spektakl nie jest traktowany tutaj serio. Bo jednak przedstawienie jest czymś niesłychanie ważnym, ba, wręcz podstawowym w tej gošcinie. Przygotowuje się spektakl z całą świadomością, że jest on zamkniętym dziełem, że będzie pokazywany nie tylko dla gości i przyjaciół, ale też na festiwalach, podczas wyjazdów, pośród ludzi, którzy niekoniecznie będą przyjaźnie nastawieni do teatru. Ale tu, w Węgajtach spektakle wchłaniają wszystko to, co stało się wcześniej, co stanie się za chwilę. Nasyczone są przyrodą okolicą, ciepłem i bezpieczeństwem.

Kiedys, było to chyba w 1990 roku pojechałem z Węgajtami na wyprawę. W drugi dzień Świąt Wielkanocnych śpiewaliśmy alilujkę w Dziadówku, niedaleko jeziora Hańcza, a później wszyscy przenieśliśmy się na pogranicze polsko-litewskie w okolice Szypliszek. Szło nas kilkanaście osób. Od domu do domu. Wszędzie czekały ciasta, wędlina, bimber... Nie zdarzyło się, by ktoś nas nie przyjął. Ruszyliśmy koło południa, a na miejsce noclegu wracaliśmy już późno wieczorem. A jeszcze wszystkich z okolicy czekała zabawa. Było wędrowanie po wzgórzach moren, śpiewanie pieśni świątecznych, starych i wesołych, przekomarżanie się, śpiewy starych ludzi. Spotkania na drodze pijaka trudno było rozbudzić nawet dźwiękiem trombity. Mieszały się gesty, uśmiechy, chwile tańca, wielogłosowe alilujki. A zabawa w Dziadówku... Tam dopiero rozpętał się żywioł. Bo przecież święta, bo kapela.

Tak to było, tak brzmiało. A rok później zobaczyłem w Węgajtach premierę spektaklu *Gospoda ku Wiecznemu Pokojowi*. Obok historii utkanej ze słów *Doliny Issy* Czesława Miłosza, poezji Johanna Bobrowskiego i fragmentów z Mikołaja z Wilkowiecka zobaczyłem w tym spektaklu raz jeszcze "naszą alilujkę". Było to dziwne wrażenie. Spod scenicznych wydarzeń dostrzegalne były wciąż echa podróży na Suwalszczyznę. Od najprostszych – podpatrzonych u ludzi gestów czy zachowań, od pieśni tam śpiewanych, po bardziej skomplikowane, nasuwające się w sferze skojarzeń.

Nastrój, to niebezpieczne słowo przy opisie przedstawienia teatralnego. Ale cała sfera świątowania Wielkanocnego odtworzona w *Gospodzie ku Wiecznemu Pokojowi* swój rodzaj wywodziła wprost z Dziadówckiej alilujki. Oczywiście Węgajty podróżowały w wiele jeszcze miejsc, ale na tych wyprawach już nie byłam. Jednak nawet Wacław Sobaszek, szef Węgajt sam przyznaje, że inspiracja z Dziadówka była najmocniejsza.

Wciąż poruszam się w materii ukrytych inspiracji, gdy rodzą się idee i przecucia. Bo

można zapytać wprost – skąd na przykład w spektaklu zstąpienie do piekieł według Mikołaja z Wilkowiecka? Jedna z odpowiedzi może być taka. Otóż w Dziadówku mieszkaliśmy w domu na szczycie moreny górującej nad okolicą. Pogoda była wyśmienita, siedzieliśmy z Wackiem gawędząc o tym i owym. I w pewnym momencie zaczął mi opowiadać, że za rok chciałby zainscenizować tu jasełka. Tu, w plenerze na wzgórzu. Tu będzie brama piekieł, wskazał na jakąś ziemiankę, stąd wyjdą diabły... Opowiadał, opowiadał, a ja próbowałem podążać za jego wyobraźnią. Pomysł widowiska na wzgórzach pozostał chyba tylko marzeniem tamtego dnia. Ale, jak sobie wyobrażam, wielkanocne akcenty z *Gospody ku Wiecznemu Pokojowi* stamtąd wzięły początek. Bo w spektaklu świąteczne widowisko jest właśnie Dziadówkie: na wpół ludowe, trochę udane, trochę amatorskie, nawet naiwne.

Ale nie tylko nastrój jest echem różnych podróży węgajskich. Z drogi, z różnych wypraw, przywieziono tu gotowe elementy wykorzystane w *Gospodzie ku Wiecznemu Pokojowi*. Bo skąd i po co na Warmii huculskie wzory na makatce zakrywającej wielki stół? Ano, to echo fascynacji Stanisławem Vincenzem i podróży po Huculszczyźnie. Skąd Cygańskie gryfy, w jakie zaopatrzone były taborowe wozy? Świadczą o spotkaniu z cygańskimi muzykami.



Gdyby tak rozebrać przestrzeń spektaklu na kawałki, odstłonią się setki kontekstów, spotkań, opowieści. W *Gospodzie* sklepienie przebudowanej stodoły przemienia się w dach świątyni i dzwonnicy. Stół okryty huculskim płótnem, zaopatrzony w gryfy wyjęte z cygańskiego taborowego wozu staje się metaforą podróży. A tytułowa gospoda jest tradycyjnym miejscem spotkania.

W ostatnim, najnowszym przedstawieniu Węgajt – *Opowieściach Kanterberyjskich* jest też podobnie. W scenograficznej przestrzeni raz po raz pojawiają się „gotowe” niezwykle nasycone znaczeniami elementy. Na przykład Szeml. I tu znów musi być dygresja. W okolicach Węgajt przed wojną żywe były zwyczaje kolędnicze. Chodziło się wtedy z Szemlem – swoistym Lajkonikiem. Na jednym ze strychów węgajskich gospodarstw odnalazł się właśnie taki kolędniczy konik. Zespół Węgajt, wraz z ludźmi ze wsi zaczął więc w 1995 roku kolędować po okolicy, wykorzystując Szemla. Tymczasem, podczas spektaklu, tenże sam Szeml pełni zupełnie odmienną rolę. W *Opowieści Rycerza* Szemlem jest Emelija. I to ona swą pięknoscią oczarowuje Palamona i Arcytę. Podczas interpretacji tej sceny znów nakładają się tysiączne sensy. Także obrzędowe.

Przestrzeń dzieła literackiego, będącego inspiracją i rdzeniem spektaklu przenika się,



nie tylko w sferze działań i przedmiotów, ale także w materii słownej, z plonem wędrówek i zetknięć w drodze. Na przykład historia o śmierci, która pod drzewem zabiera trzech „przyjaciół” zapisana w XIV wieku przez Chaucera, została odnaleziona podczas wyprawy jako historia „tutejsza”, opowiadana przez jednego z mieszkańców wsi. To zadziwiające, jak literatura wysoka wpisała się w przestrzeń wsi i poprzez tradycje ustną była przenoszona przez wieki i kraje.

*

Kolejne spektakle Węgajt zawierają powracające wątki. Jednym z nich jest motyw śmierci i jej przezwyciężenia, umierania i budzenia się do życia. Wątek powtarza się na różne sposoby we wszystkich trzech dotychczasowych spektaklach Teatru Wiejskiego.

*

W *Historiach Vincenza* pochodził on jednoznacznie z obrzędowości ludowej. Odwoływał się do kolędowego obrzędu śmierci i ozdrowienia kozy. Wyjęty był z huculskiej tradycji, lecz motyw ten znany jest na prawie całej słowiańszczyźnie. Koza może być zastąpiona Turoniem (przykładowo w Małopolsce), konikami (żywieckie *Dziady noworoczne*)... Znaczenia rytualnej śmierci i ozdrowienia są bardzo szerokie. Kolędowanie wiązało się zawsze z okresem przemiany, przejścia bądź „dobrego początku” (czas Bożego Narodzenia i Nowego Roku czy Wielkiej Nocy). Był to czas odgania zła, właśnie rytualnej śmierci i

później odrodzenia przyrody – w obrzędzie przywrócenia do życia. Ludowe obrzędy miały za zadanie, przemienić, odgonić to, co złe, a równocześnie przynieść szczęście i błogostawieństwo. W *Historiach Vincenza* trochę poetycko, lecz prawie dokładnie wykorzystano elementy, jakie ten obrzęd niesie w sobie.

W *Gospodzie ku Wiecznemu Pokojowi* śmierć i zmartwychwstanie zamknięte są w tradycji chrześcijańskiej, ludowej religijności. Chrześcijański i obrzędowy czas wsi spajają się w takim ujęciu w jedno.

Sytuacja komplikuje się w *Opowieściach Kanterberyjskich*. Tutaj śmierć zbiera obfite żniwo. O przejściu do nowego życia nie mówi się wprost. Ale na zakończenie spektaklu formuje się orszak weselny – w dawnej kulturze jeden z najsilniejszych znaków afirmacji życia. Zapowiedź przyszłych narodzin. Na dodatek postać Szemla już sama w sobie jest znakiem błogostawieństwa.

*

Ten fragmentaryczny wypad w krainę znać i inspiracji w spektaklach Węgajt uzmysławia, jak wieloznaczna struktura da się odczytać. Spektakl odwołuje się do coraz szerszych kręgów postrzegania. Od podstawowej opowieści i teatralnej formy, poprzez „otwartość” na inspiracje drogi, przestrzeni, współbycia, współoglądania, aż po zanurzenie w kulturowej, zamkniętej w tradycji, pełnej wieloznaczności i otwartości na ponadindywidualny wymiar.